

ARNOLD BENNETT.

WIDMO

6

— Przedstawcie sobie! miałam wrażenie, że ja znam ten dom — zaczęła. — Zaledwie weszłam na podworec, poczułam, że musi tu być korytarz, idący na prawo, a na końcu tego korytarza kilka schodów, podejście i drzwi, a poza temi drzwiami wielki pokój, salon... To też bez dzwonienia, nie czekając na pocztowego Alreskę weszłam tu...

— A co drogą panią sprowadza do Bruges? — zapytał Alreska.

— Troska o zdrowie pańskie, drogi panie! — odpowiedziała z uśmiechem. — W Bayreuth spotkałam się z tą dziwną osobą, panią Sullivanową Smith i od niej dowiedziałam się, że pan wciąż jeszcze tu bawi, razem z panem Fosterem. Dziś zaś, w drodze pomiędzy Kolonią i Ostendą przyszło mi nagle do głowy, żeby jeden wieczór spędzić w Bruges i dowiedzieć się, jak się pan tu czuje — i pan Foster także. Pan wie, że gazety podawały najsprzeczniejsze wiadomości.

— Czy naprawdę? — roześmiał się Alreska. — Zauważyłem jednak, że zdenerwowany był i nie-swoj. Co do mnie, przyznaję, że byłem uszczęśliwiony z tego nagłego, niespodziewanego widzenia Rozy, a i z tego, że i mną się interesowała także. Odgadywałem jednak, że lepiejby było, gdyby nie była wcale przyjeżdżała; miałem głuche przeczucie jakiegoś nieszczęścia.

Twarz Alreski gorzała rumieńcem. Mówił krótko, szybko, urywanie. Naprzemian głos jego to unosił się gorąco, to wpadał w sztuczny chłód. Wdzięczna obecność Rozy, jej dźwięczny szczebiot, wesoly śmiech zapełniały pokój. Płynął od niej jakiś czar rozkoszny, odurzający, niósł się dokoła i otulał duszę Alreski. Zdawało się, że on broni się przed jakimś wpływem i że stopniowo ulega jego słodocy. Obserwowałem go bacznie — nie byłże moim pacjentem? — i odgadywałem toczącą się w nim walkę. Myślałem o tem, co mi przed chwilą powiedział i lek mnie brał, czy on nie przecenił siły swojej woli...

— Pani po obiedzie? — zapytał Alreska.

— Jadłam, owszem — odpowiedziała. — Ale po całodziennnej podróży nie czuje się głodu.

Przysłała tylko na filiżankę czarnej kawy — i chodząc z tą filiżanką w rękę, oglądając artystyczne drobiazgi urządzenia, opowiadała Alresce różne nowiny o wspólnych znajomych operowego świata, o tem, jak jeden się ożenił, inny zrobił fiasco w Buenos Ayres, jak ten szaleje z zazdrości, tamten zapadł na tyfus, a znów innego ścigają dłużnicy i t. p. i t. p.

— A Smarth? — zapytał w końcu Alreska.

Czekałem na to pytanie.

— Ach, Sir Cyryl! Nic o nim nie słyszałem. Ja się nim bynajmniej nie interesuję.

Zacisnęła usta i nagle spojrzała ku mnie, nie mogłem jednakże niczego wymiarkować z jej twarzy. Gdyby ona wiedziała, że kosztowny sztylecik, schowany starannie, leżał w pokoju nad jej głową!

Ślomiany jej kapelusik i woalka leżały na taborecie między oknami. Wzięła je do ręki, jakby zabierając się do wyjścia i położyła znowu.

— Będę musiała zaraz uciekać — rzekła, pochylając się nad Alreską — ale nim odejdę, tak radabym obejrzeć ten cały dom! To taki jakiś oryginalny kąt! Czy pan pozwoli, żeby mi go pan Foster pokazał? Nie na długo zabiorę go panu.

— Tak po ciemku?

— Mamy przecież świece.

Za chwilę z srebrnym lichtarzem w rękę prowadził mnie po szerokich schodach domu. Pozostawiliśmy Alreskę samego, zapaliliśmy lampę przy jego pośtaniu i podawaliśmy mu do czytania „Madame Bovary“.

Zatrzymaliśmy się na pierwszym podejściu, chcąc obejrzeć jakiś obraz.

— Zdaje się, że on się wyleczył z tej tajemniczej choroby, na którą zapadł, czy też zdawało mu się, że zapadł w Londynie? — zapytała mnie nagle cichym, lekliwym nieco, poufny tonem.

Nie wiem sam, dlaczego zawahałem się.

— On tak sądzi — odpowiedziałem ostrożnie. — W każdym razie czuje się o wiele lepiej.

— Tak, ja to widzę. Ale jeszcze wciąż silnie jest nerwowo podniecony.

— Ach — odpowiedziałem — to tylko... tylko niekiedy...

Chodząc z nią z pokoju do pokoju, zapominałem o wszystkim, prócz o jej obecności. Piękność jej

była przepiękna; a ta potęga działała bez żadnej sztuki, najzupełniej nieświadomie. Zaczęłem smutnie dumać nad tem, czy też ona ostatecznie wyjdzie kiedy za Alreskę, lecz nagle jej odezwanie się przywołało mnie do przytomności. Dochodziliśmy do górnego piętra.

— To wszystko tak mi jakoś znajome — zauważyła.

— To samo mówiła pani na dole. Czy pani tu kiedy była?

— Nigdy, o ile mi wiadomo.

Szliśmy obok siebie długim, szerokim korytarzem. Nagle potknąłem się, tak że omal nie upadłem — o niespodziewany pojedynczy stopień. Roza jednakże trafiła nogą na ten stopień.

— Nie widziałem stopnia — rzekłem.

— Ani ja — odpowiedziała — ale jakoś wiedziałam, że on tu być musi. To dziwne i niezrozumiałe; muszę o tem pomówić z Alreską..

Roześmiała się z przymusem.

W chwili, gdy naciskał klamkę drzwi, przytrzymała moją rękę.

— Słuchaj pan! — rzekła — teraz będzie mały pokój, a nad kominkiem wisi mały okrągły obrazek, przedstawiający psa.

Otworzyłem drzwi z lekkim dreszczem. Tej części domu nie znałem. Pokój był istotnie mały, ale nie było małego obrazka nad kominkiem. Wisiał tam dość duży kwadratowy obraz, pejzaż morski.

— Żle pani zgadła — rzekłem z uczuciem jakiejś ulgi.

— Nie, nie, jestem swego pewna!

Podeszła do obrazu i zdjęła go ze ściany.

— Niech pan patrzy! — rzekła.

Poza obrazem na ścianie był okrągły białawy, jaśniejszy ślad, zaznaczający, że inny obraz poprzednio tu wisiał.

— Pójdźmy już! pójdźmy już! Takie niemiłe to, drgające światło świecy! — szepnęła, czepiając się mojego ramienia.

Wróciliśmy na korytarz i puściła moje ramię.

— Czy to nie był Alreska? — krzyknęła.

— Gdzie?

— Tam na końcu korytarza... tam!

— Nie widziałem nikogo i nie mógł to być on, dla tego poprostu, że on jeszcze chodzić nie może, a tem bardziej wejść na trzecie piętro. Zdenerwowała się pani.

Zeszliśmy na dół. W głównej sieni gospodyni Alreski, widocznie stara znajoma, powitała Rozę ukłonem i zagadła do niej. Ja zaś poszedłem prosto do salonu.

Gdy to piszę, widok pokoju tak żywo stoi przedemną! Większą część pokoju zalegał cień, lampa jednak paliła się jasno w głowach posłania, oświetlając wyraźnie piękny profil Alreski. Zasnął widocznie — w każdym razie oczy miał zamknięte. Tomek „Madame Bovary“ leżał na podłodze, a obok ołówek w złotej oprawie. Spokojnie podniosłem książkę, a na żółtej okładce dojrzałem kilka słów napisanych. Były to te słowa:

„Karolu, ja ją kocham. On znowu wrócił. Tym razem to będzie...“

Długo patrzyłem na tę spokojną, na tę szlachetną twarz; nachyliłem się i słuchałem...

W tej chwili weszła Roza. Chowając książkę, wyciągnąłem rękę, tym ruchem nakazując ciszę.

— Spokojnie! — rzekłem i załamał mi się głos.

— Dlaczego? Co się stało?

— On nie żyje — odpowiedziałem szeptem.

Nie przyszło mi wcale na myśl, że powinienem był ją przygotować.

Rozdział VII.

Patrzeliśmy na siebie, Roza i ja poprzez śmiertelne szczątki Alreski.

Wszystkie nieokreślone a straszne obawy, nie-pokoje, przypuszczenia, które stopniowa poprawa stanu Alreski uspiła, zrywały się znowu w mojej duszy, wypływały na jasną powierzchnię z tych niezbadanych zakamarków duszy, gdzie przyczaiły się i skryły. I znowu pamięcią wróciłem do tych posępnych dni w Londynie przed naszą podróżą do Bruges, dni, nad którymi tajemnicza jakaś groza wisiała.

Przypomniało mi się majaczenie Alreski zaraz po wypadku i hallucynacja jego — wizja jakaś na białej ścianie garderoby. Przypomniało mi się, jak wybuchnął przeciw Rozie. I przypomniał mi się też wybuch Emmeliny Smith przeciw Rozie. Wspominałem tę wizję w kuli kryształowej i nagłe zjawienie się wtedy Rozy. I scenę pomiędzy Rozą a Sir Cyrylem Smarth i jej chęć przebicia sobie ręką sztylcikiem, klejnotem wysadzonym. Widziałem w myśli

błysk tego sztylcika na kamieniach trotuaru ulicy... I przyszło mi na myśl zniknięcie Sir Cyryla Smarth. I wszystkie niezrozumiałe okoliczności dziwnego upadku sił Alreski i jego równie niezrozumiałe ozdrowienie. I uderzyło mnie to, że przecież jego wyzdrowienie zbiegło się z zupełną nieobecnością Rozy i brakiem jego z nią styczności... A oto ona przybyła! Nie ubiega godzina i on nie żyje! „Kocham ją. On powrócił. Tym razem to będzie...“ Jak on chciał zakończyć to zdanie?... Któż to „powrócił“?... Byłże kto inny jeszcze zamieszany w zagadkę tej tragedii? Byłże to może ten mężczyzna, którego spotkałem owej nocy, gdy znalazł sztylecik?

„Kocham ją“... Więc czyż ludził się co do swego serca, gdy zwierzał mi się parę godzin temu? Czy nagłe zjawienie się Rozy wzbudziło tę miłość na nowo? Dla czego ona go riegdyś odrzuciła? Zdawało się, że ma dla niego tyle serdecznego uczucia. A jednak ona go zabiła. Wprost czy pośrednio ona się stała śmierci jego przyczyną...

I gdy tak patrzyłem na nią, głęboki żal za Alreską czynił mnie jej sędzią. Zapomniałem na chwilę tych uczuć, które mi natchnęła, a które wistocie nie zamarły w głębi mojej duszy.

— Jak pani tłumaczy to, co się stało? — zapytałem jej spokojnym, a jednak trochę nieprzyjaznym tonem.

— Och! — westchnęła. — Jak to smutne! Jak to strasznie, strasznie smutne!...

Głos jej był tak czysty i miły, spojrzenie tak niewinne, a boleść na twarzy tak szczerą, że zniknął z mej duszy wszelki ślad podejrzania. Choć nie odpowiedziała na moje pytanie, jak gdyby go nie była dosłyszała, wiedziałem już teraz z bezwzględna pewnością, że śmierci Alreski tak samo nie zawiniła ona, jak ja sam.

Przystąpiła bliżej, długo patrzyła w zmarłego i martwą dłoń jego ujęła w swoją. Nie płakała jednak...

A potem nagle wyszła z pokoju i z domu.

Przez parę dni wcale jej nie widziałem. Przysłała wspaniałe wieniec z swoim biletem. Tyle tylko.

Jednakże stanowcza pewność, że ona nie była wplątana w tą zagadkę, nie przeszkodziła mi dręczyć się nad jej rozwiązywaniem. Musiałem ją także rozwiązać dla władz belgijskich — więc wystawiłem świadectwo, że Alreska umarł „na paraliż serca“.

Nie miałem zresztą w owych dniach czasu (chyba po nocach) do rozmyślenia nad tajemnicą. Przekonałem się bowiem wkrótce — czego dotąd nie objąłem należycie — jak znaczącą osobistością w świecie był Alreska.

Pierwszy anonis jego śmierci ukazał się w *Etoile Belge*, znanym brukselskim dzienniku, a od tej chwili listy, telegramy, goście — wszystko to strumieniem napływało do domu Alreski. Jako jego towarzyszyć musiałem się naturalnie oddać tym dotyczącym go sprawom, zwłaszcza że jak się zdawało, nie miał żadnych krewnych. Korespondenci angielskich, francuskich i niemieckich gazet rzucili się na mnie, w pogoni za informacjami. Przeważali jakas tajemnicę, ale ja im to wyperswadowałem. Opowiedziałem im, że przecież Alreska oddawna chorował, umarł zaś zupełnie naturalnie, z wyczerpania akcyi serca.

Owe dni wspominam, jak nocną zmoreń męczącą. Przy pomocy nieocenionego Aleksego, bez tchu prawie wysyłałem telegramy i listy i wypowiadałem grzeczne frazesy do ludzi, których widziałem po raz pierwszy w życiu.

Miałem też dwie niespodzianki.

Najpierw anglo-belgijski prawnik, którego wezwałem, powiadomił mnie, po przejrzeniu papierów Alreski w obecności urzędnika, że przyjaciel mój pozostawił testament, z daty bezpośrednio przed przybyciem naszym do Bruges, zapisujący całą swą własność mnie i naznaczający mnie jedynym egzekutorem. Nigdy nie zrozumiałem, dla czego on to uczynił — chyba przez prosty kaprys swego dobrego serca.

Drugą niespodzianką była wizyta burmistrza miasta. Przyszedł w uroczystym stroju. Była to wizyta bardzo ceremonialna. Złożywszy mi kondolencje i zarazem powinszowawszy spadku, oświadczył, że miasto życzy sobie oficjalnego, uroczystego pogrzebu. Na razie sprawiło mi to przykrość, ale nie było powodu do przeciwstawiania się, przystałem przeto na tę propozycję.

Wystawiono zatem zwłoki w katedrze; zdawało się, że całe miasto okryła żałoba; przed trumną znakomitego ziomka przepływały fale tłumy.

W wilię pogrzebu przyszedł do mnie ksiądz staruszek, wysłaniec biskupa.